

KONRAD PISKAŁA

# Sudan

czas bezdechu

terra incognita



## KONRAD PISKAŁA

(ur. 1972) – z wykształcenia geolog, z zawodu fotograf i dziennikarz. Wielokrotnie podróżował po Afryce, Azji, Bliskim Wschodzie, pisał o Białorusi, Kurdystanie, Rumunii i Rosji. Od kilkunastu lat pracuje jako freelancer i zajmuje się tematyką społeczną. Współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Publikował reportaże m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Voyage”, „Podróżach”. Laureat kilku nagród dziennikarskich. Współautor książki *W imię ojca. Fenomen Tadeusza Rydyka* (2007).

**KONRAD PIŠKATA**

**Sudan**

Arkadij Babczenko  
*Dziesięć kawałków o wojnie. Rosjanin w Czeczenii*

Max Cegielski  
*Pijani Bogiem*  
*Oko świata. Od Konstantynopola do Stambułu*

Barbara Ehrenreich  
*Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć*

Marc Fernandez, Jean-Christophe Rampal  
*Miasto – morderca kobiet*

Peter Godwin  
*Gdzie krokodyl zjada słońce*

David Grann  
*Zaginione miasto Z*

Tony Horwitz  
*Błękitne przestrzenie*

Wojciech Jagielski  
*Dobre miejsce do umierania, Modlitwa o deszcz*  
*Nocni wędrowcy, Wieże z kamienia*

Tobias Jones  
*Sny o Utopii. Podróże w poszukiwaniu dobrego życia*

Krystyna Kurczab-Redlich  
*Głową o mur Kremla*



---

t e r r a   i n c o g n i t a

Murat Kurnaz  
*Guantanamo. Pięć lat z mojego życia*

Sven Lindqvist  
*Wytępić café to było*

Juliette Morillot, Dorian Malovic  
*Uchodźcy z Korei Północnej*

Cees Nooteboom  
*Drogi do Santiago*

Walerij Paniuszkin, Michaił Zygar  
*Gazprom. Rosyjska broń*

Åsne Seierstad  
*Księgarz z Kabulu, Dzieci Groznego*

Kamila Sławińska  
*Nowy Jork. Przewodnik niepraktyczny*

Tiziano Terzani  
*W Azji*

Fabienne Verdier  
*Pasażerka ciszy*

Xue Xinran  
*Dobre kobiety z Chin*

**KONRAD PIŚKAŁA**

**Sudan**

**czas bezdechu**

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010  
Wydanie I  
Warszawa 2010

*Ten kraj, rzecz jasna, nie jest narodem*

Hassan al-Turabi







**pótnoc**



## dom duchów: historia Afry

– Afra!

Odwróciła głowę. Przez moment stała zdziwiona. Wiatr unosił żółto-brązowy piasek, gdy podjechał do niej jasny terenowy samochód. Było przedpołudnie. Chciało jej się pić, podobnie jak dwu młodszym siostram, z którymi czekała na autobus. Zaszumiął mechanizm otwierający szybę. Za kierownicą siedział czarnoskóry facet, który jeszcze przed chwilą stał po drugiej stronie jezdni.

– Afra – powtórzył jej imię. – Pokaż nam, jak najszybciej wyjechać z miasta.

Na koszulce miał podobiznę Johna Garanga. Uśmiechnęła się.

– Najpierw skręcisz w lewo, a potem pierwszą przecnicę w prawo i dalej cały czas prosto.

– Prosto?

Wyglądał na niezbyt przekonanego.

– Afra, ty jesteś dobra dziewczyna. Wsiądź i pokaż mi drogę. To chyba niedaleko, wrócisz pieszo.

Nie zaniepokoiło jej to, że ją znał. Tu, na obrzeżach Chartumu, znają się niemal wszyscy.

Spojrzała na siostry. Upał dawał im się we znaki, a z samochodu wiał przyjemny chłód klimatyzacji. Dziewczynki aż przebiebrały nogami, by jak najszybciej znaleźć się u braci kombonianów, którzy urządzali właśnie Dzień Dziecka.

– Poczekacie chwilkę? – zwróciła się do nich. – Potem zjemy śniadanie i pójdziemy do szkoły.

Kiwnęły głowami, że się zgadzają.

– Tylko nigdzie się stąd nie ruszajcie – przykazała im jeszcze.

Otworzyła drzwi terenówki i zajęła miejsce obok kierowcy. Z tyłu siedziało jeszcze dwóch mężczyzn, Arabów. Afra nie dostrzegła ich wcześniej. Przez chwilę jechali w milczeniu. Przymknęła oczy. Huczała klimatyzacja.

– Załóż to!

Poczuła, jak mężczyzna siedzący z tyłu przykładają jej coś do szyi, a drugi podaje czarną foliową torbę.

Nie rozumiała, o co im chodzi. Odwróciła głowę w ich stronę.

– Załóż to! – powtórzył twardo.

Trzymał w ręku pistolet.

Zamarła ze strachu.

Jak to się stało, że ich nie zauważyła? Nie zwróciła uwagi na przyciemnione szyby ani na dziwną poufałość.

Samochód jechał przez Chartum. Miasto tętniło swoim nierównym rytmem. Nie wiedziała, dokąd ją wiozą. Czuła uderzenia kół o wyboje, a potem równą asfaltową drogę i znów wertepy. Wreszcie odłonili jej oczy.

Znalazła się w jakimś pomieszczeniu bez stołu, krzesła, łóżka. Tylko nagie ściany. Zrozumiała, że to jeden z tych strasznych sekretnych lokali służby bezpieczeństwa, zwanych „domami duchów”.

– Bywasz na mityngach w klubie?

Domyśliła się, że chodzi im o chartumski klub dla chrześcijan z Południa. Mówili o nim „freedom”. Był typowy. Ot, garaż, wnęka w niskim parterowym budynku z prostymi plastikowymi krzeselkami. Można tam było zapalić fajkę wodną i wypić herbatkę karkade. Na ścianach wisiało trochę plakatów ze znanymi piłkarzami – Cristiano Ronaldo, Anelka, Owen. Dla niej to było miejsce spotkań nie tylko chrześcijan

z Południa, ale i Arabów. Wiedziała o klubie jedynie tyle, że czytają tam wiersze i śpiewają piosenki.

– Po co chodzisz na mityngi?

– Nie wiem. Śpiewam piosenki. Mam ładny głos.

W odpowiedzi dostała w twarz. Zapiektło.

– O czym rozmawiacie?

– Ja nie chodzę na żadne mityngi, nie chodzę na spotkania z ludźmi z Południa. Ja śpiewam piosenki – powtórzyła.

Znów uderzenie w twarz. Przypominali zwykłych mężczyzn w znoszonych marynarkach z bawełny, jak ci sprzedający papierosy na Jakson Station. Kolegów jej ojca.

Po iluś godzinach – Afra straciła już poczucie czasu – złapała ją za ramię i zaciągnęli półprzytomną do innej sali.

– Widzisz tę maszynę? Patrz! To na takich jak ty. Tyle z ciebie zostanie, garstka. Ręka, kawałek stopy. Potem wrzucamy te resztki do Nilu. Wiesz, ilu ludzi znika w Sudanie bez wieści? Chcesz być jedną z nich?

Nie odpowiedziała. Nie miała nawet pojęcia, czy jest dzień, czy noc, ile minęło godzin od porwania. Byli brutalni, ale jej nie katowali. Wreszcie wyrzucili ją równie niespodziewanie, jak zabrali z ulicy. W środku nocy znalazła się na jakimś skwerze – poturbowana, posiniaczona i przestraszona. Nie wiedziała, w jakiej części stolicy się znajduje. Błąkała się kilka godzin, unikając ludzi. Wreszcie zatrzymała się na pierwszym checkpoincie. Było tam dwóch młodych policjantów. Grzali herbatę na gazie. Skłamała, że się zgubiła, i poprosiła, aby przenocowali ją na posterunku do rana. Zgodzili się.

Następnego dnia odwieźli ją do domu. Okazało się, że minęły trzy dni.

Ojciec był wściekły. Chwycił ją za rękę. Awantury w krajach arabskich często wybuchają na ulicy. Wstyd jest sprawą publiczną. Ojciec krzyczał przy policjantach i ścisnął jej ramię

tak mocno, że wyła z bólu. Stali tuż przy torach, które dzielą Shajarę, najuboższą dzielnicę Chartumu, niczym cięcie skalpelem.

– Zachowałaś się jak dziwka! Jak mogłaś zostawić dwie małe siostry!? Jak mogłaś pojechać z obcymi mężczyznami!? Okryłaś nas hańbą.

Z glinianych domów, które ciągną się przez całą dzielnicę i wyglądają z góry jak plastry miodu, zaczęli wychodzić ludzie. Przystawali, krążyli albo spoglądali z daleka. Nikt nie interweniował, nikt nie miał odwagi podejść. To w końcu kłótnia między ojcem i córką.

Próbowała się bronić, tłumaczyć, ale brakowało jej słów.

– Nie krzyczcie na nią. Ona nie jest niczemu winna – powiedział jakiś mężczyzna. Przeszedł przez tory i stanął tuż za plecami policjantów.

Afra podniosła głowę. Spojrzała na swojego obrońcę i skamieniała.

– On też mnie bił! – powiedziała głośno do ojca.

Afra nosi na szyi cienki srebrny krzyżyk. Ma szkliste, białe zęby i silny głos. Chrapliwy, niemal męski. Jeszcze do niedawna mieszkała z rodzicami w Shajarze. Działała w oazach, uczyła się w szkole kombonianów. Ale po porwaniu przeprowadzili się całą rodziną do innej części miasta. Nie tylko ze strachu. Również ze wstydu. Ojciec Afry zapamiętał tylko jedno: że jechała samochodem z obcymi mężczyznami. Dziś Afra nie chodzi już ani do klubu, ani nad Nil.

\* \* \*

Wreszcie cisza. Słysząc tylko buczenie silników samolotu i trzaski radiostacji w słuchawkach. Pod nami morze – ciemne oleiste fale.

Po raz pierwszy próbowałem pojechać do Sudanu w końcu lat dziewięćdziesiątych. Po drodze zatrzymałem się w Jordanii, u Sudańczyka Amira. Nie potrafił zrozumieć, po co chcę jechać do jego kraju. „Przecież tam nic nie ma”, powtarzał.

Wszystko zaczęło się od zdjęcia. Najważniejszego, jakie kiedykolwiek widziałem. Zrobił je Kevin Carter, fotograf wojenny, podczas jednej z wielu sudańskich klęsk głodu. Przedstawia umierające z głodu dziecko i oczekującego na tę śmierć sępa. Długo Afryka wyglądała dla mnie właśnie tak. Niewyobrażalna samotność i pustka. „Moim celem jest prowokowanie tych wszystkich zadowolonych z siebie, szczęśliwych ludzi, którzy wszystko mają gdzieś. Chcę nimi wstrząsnąć, rzucić im w twarz zdjęcia umierających dzieci, kiedy będą pili poranną kawę z mlekiem”, powiedział Carter w jednym z wywiadów. Od czasu, kiedy zobaczyłem to zdjęcie, zacząłem śledzić wydarzenia w Sudanie. We wszystkich relacjach powtarzała się opinia o Sudańczykach jako o ludziach niesłychanie otwartych i życzliwych, a jednocześnie donoszono o popełnianych przez nich podczas wojny domowej okrucieństwach. Nie rozumiałem tego dysonansu ani ostrego podziału na Północ – gdzie rządzi reżim, ale mimo to życie biegnie spokojnie, przyjeżdżają polscy archeolodzy, turyści – oraz Południe, czy między innymi Darfur pogrążony w chaosie.

Inną zapamiętaną fotografią z Sudanu jest czarno-białe zdjęcie Kassali, miasta na wschodzie. Drogą idą nomadowie z wielbłądami. Na grzbietach zwierząt kołyszą się drewniane kosze. W tle widać kilka wełnistych wzgórz przysypanych piaskiem. Widać też surowe, wytarte koryto rzeki. Wszystko otacza półpustynia. Wielokrotnie oglądałem tę fotografię – był w niej jakiś ferment, niepokój. Przed grupą dorosłych z przewieszonymi przez ramię długimi mieczami biegło kilku chłopców. Ze zdjęcia nie dało się wywnioskować, czy to

była ucieczka, czy nagła radość. Kiedy po latach oglądałem jakąś książkę o Sudanie, znów trafiłem na zdjęcie z Kassali. Było współczesne, ale niemal identyczne. Jakby czas tam nie mijał. Znów piaszczysta droga, bez wyraźnych konturów i kolein po pojazdach. Tylko nomadowie, wielbłądy i podskórny niepokój.

Miałem podróżować statkiem handlowym z Suez do Port Sudanu, bo na samolot nie miałem pieniędzy, a granica lądowa była zamknięta. Udało mi się nawet znaleźć taki rejs, ale kapitan kazał czekać kilka dni w Suezie, aż załadują statek. Miasto dusiło się z gorąca, a w hotelach nie było miejsc. Spoceni portierzy tłumaczyli, że jest święto i wszystkie pokoje są zarezerwowane. Przenocowałem wtedy w muezin. Kiedy jednak kilka dni później poszedłem do sueskiego portu, dowiedziałem się, że statek odpłynął dzień wcześniej. *Inszallah*.

Potem wielokrotnie odwiedzałem Afrykę, ale nigdy Sudan. Zawsze coś mnie po drodze zatrzymywało. Teraz, lecąc nocnym samolotem z Berlina do Kairu, zdaję sobie sprawę, że znajduję się w tym kraju w szczególnym momencie. Właśnie podpisano porozumienie między Północą a Południem, kończące konflikt, który pochłonął ponad dwa miliony ludzkich istnień. To nie jest na razie pełny pokój, ledwie przerwa, takie wstrzymanie oddechu, bo nikt nie wie, co się wkrótce wydarzy. Chcę przejechać cały kraj. Podróż przez Sudan zacznie się w spokojnej arabskiej Wadi Halfie na granicy z Egiptem, a zakończy w Nimule, na pograniczu z Ugandą. To nie tylko kilometry, lecz również wędrówka z islamu do chrześcijaństwa, z pustyni do lasu deszczowego, z bieli do czerni.

## **„twoja prawdziwa dusza i ciało zjawiają się przede mną”**

– Traktują nas jak ryby.

Nasir klnie i sadowi tłusty tyłek na ławce obok młodych kobiet. Tu nie obowiązuje arabski *savoir-vivre*, nie ma wydzielonych stref, i jedna z dziewczyn odsuwa się z niesmakiem, bo Nasir jest duży, czarny jak noc i kapie z niego pot, jakby przed sekundą wylądował w pełnym słońcu kilka wagonów węgla.

– Albo jak *chickens*, jak *chickens*. Dokładnie tak nas traktują – podkreśla i patrzy w oczy, szukając potwierdzenia.

– *Jalla, jalla*, szybko! Do tyłu! – krzyczą wojskowi do ludzi stojących na trapie.

Postawny egipski żołnierz z karabinem maszynowym przewieszonym przez ramię gwałtownie popycha tych, którzy chcą zbyt szybko wejść na pokład promu do Wadi Halfy.

Jest w tym kontynencie jakaś agresja, słabo tłumiona przemoc, impulsywność i zarazem ogromna siła bezwładności, upór, bo tłum cofa się przed ciosami, ugina i znów napiera, posuwa do przodu. Jakby żołnierz atakował nie ludzi, ale wiatr, jakby bezsilnie bił gałęzie drzew.

– Jasne, po co mamy się spieszyć. Wszyscy zdążymy – zmienia zdanie Nasir.

Przez okrągłe okienka widać tylko wodę. Płynę drugą klasą, pod pokładem. Miejsce w sam raz dla biedaków i szczurów – gdyby tu były. Nie ma żadnych owadów, chrząszczy, muszek. Nic nie fruwa, nie gryzie. Nawet żal mi tego braku życia.

Wszystko zajęte przez ludzi, każdy centymetr kwadratowy pokładu, każda najmniejsza plama cienia.

Druga klasa ma plastikowe ławki, podobne do tych w polskich pociągach podmiejskich, z wąskimi i ciasnymi półkami na bagaż. Każdemu przysługuje niespełna trzydzieści centymetrów pod sufitem. Ktoś z obsługi statku robi obchód, krzyczy, żeby nic nie leżało na podłodze. Odpowiada mu cisza albo raczej bezruch i niemoc, bo gdzie mają spocząć tysiące paczek z pilotami do telewizorów, herbatnikami, czarnymi

Prom do Wadi Halfy, trwa załadunek



chińskimi kapciami, kłapkami, przeciwsłonecznymi okularami, kocami z wyhaftowanym psem Pluto i innymi bohaterami kreskówek? Gdzie upchnąć roboty kuchenne, przeżarte kuzem kostki starych komputerów?

– Ludzie wszędzie czegoś do życia potrzebują – mówi Nasir.

Czego najbardziej? Według niego – blendera albo sokowirówki, ale przede wszystkim żywności: soku z mango, guawy, piwa bezalkoholowego. Małe sklepiki Dongoli czy Karimy zapełnią się egipskimi sokami, ciastkami o dacie przydatności do spożycia w nieskończoności, mleczną czekoladą z zamrażarek.

– Migające kolorowe diody na plastikowym pasku, które można przyczepić do samochodu albo nad drzwiami domu, też się dobrze sprzedają – dodaje Nasir.

Wszyscy koledzy Nasira są z Wad Medani, miasta na południe od Chartumu. Setki kilometrów stąd.

Pokład powoli się zapełnia. Statek zaczyna się lepić. Ocieka płynami, jakie wtłaczają w niego mechanicy. Wyciekają smary, oleje, benzyna. Spływają po stopniach, po oknach kabin.

A my czekamy. Najpierw kilka godzin i znów kilka, potem mija dzień, a statek przechyla się coraz bardziej w kierunku nabrzeża. Przez okrągłe okienko widzę dachy ciężarówek. Podjeżdżają jedna za drugą. Tragarze w granatowych drelichowych kurtkach wnoszą szkliste słupy lodu, skrzynki czerwonych pomidorów, śnieżnobiałe ryby, makaron.

Nie wiem, czy byłem kiedyś tak intymnie blisko arabskiej kobiety jak pod pokładem tego statku. Siedzimy kolano w kolano, dłoń w dłoń, pierś w pierś. Patrzę na młodą dziewczynę. Chusta swobodnie ześlizguje się po jej włosach, zatrzymując się na wełnistym koku. Potem dziewczyna ją poprawia – więc patrzę – nasuwa głęboko na czoło i wiąże, ale to nie

jest takie sobie zwykle wiązanie. Każde załamanie musi być na swoim miejscu. Wszystko powoli, delikatnie, bez pośpiechu, bo przecież patrzę. Nie – wszyscy patrzą, patrzy pół pokładu. Nasir nie odrywa oczu. To najbardziej erotyczny sygnał, na jaki może sobie pozwolić kobieta w świecie islamu. Każdym ruchem mówi: „Zobacz, jaka jestem piękna. Nic nie rób, nie możesz, ale patrz”.

W ten zalotny sposób chusty zawiązują wolne dziewczęta. Mężatki, które najczęściej już kilka miesięcy po ślubie są w ciąży, pozwalają sobie co najwyżej na zaciekawione spojrzania.

Nie tylko Nasir, ale wszyscy chłopcy z Wad Medani cmokają zauroczeni.

Te nasze niespotkania, nierozmowy, nieopowiedziane historie. Ten drzemiący rejs, to towarzyszenie sobie w pół śnie, w pół jawie, jakbyśmy dryfowali, przemierzali to jedną, to drugą cywilizację. Co nam się śni tej nocy, kiedy leżymy owinięci kocami na pokładzie, w przejściach, na ławkach? Budzę się co chwilę i słucham z otwartymi oczami.

– Znasz ten żart? – ktoś zwraca się do mnie, gdy widzi, że nie śpię. Kręcę głową, że nie znam. Więc opowiada. „Pewnego razu Sudańczyk pyta Egipcjanina, skąd jest. Urodziłem się w Kairze – odpowiada Egipcjanin. W której części? – dopytuje się Sudańczyk. Urodziłem się tam w całości – odpowiada Egipcjanin”.

Ktoś za naszymi plecami wybucha śmiechem zagłuszonym przez szum maszyn.

Dwadzieścia cztery godziny rejsu. Płyniemy, a pod nami spoczywają zalane przez wody Nilu domy, cmentarze, pola uprawne. W oddali wysokie brzegi Wielkiej Tamy Asuańskiej.

– Chcesz, opowiem ci o życiu w Chartumie.

Leżymy na pokładzie, jest majowa noc.

Kiwam głową, że chcę. Zresztą nie mamy nic do roboty, więc on może opowiadać, a ja słuchać. Ma okrągłą głowę, równo przystrzyżoną brodę, a jego angielski jest krystalicznie czysty, bez żadnego akcentu.

– *Your true soul and body appear before me. They stand forth out of affairs, out of commerce, shops, work, farms, clothes, the house, buying, selling, eating, drinking, suffering, dying.* Whitman!\*

– Whitman?

– Skończyłem literaturę angielską na uniwersytecie w Omdurmanie. Pracuję w warsztacie. Reperuję skutery, bo dla filologów nie ma pracy w Sudanie. A poszedłem studiować literaturę, bo kocham język Josepha Conrada i Emily Dickinson.

– A życie?

– Mój ojciec ma sklepik w Chartumie. Woził towary z Kairu. Na pokładzie tego statku poznał pewnego Egipcjanina. Przyjaźń to nie byle co. Co można dać najcenniejszego swojemu przyjacielowi...? Siostrę.

Silnik perkocze, jakby był oddzielony od statku i unosiło go coś daleko w te czerwone, surowe skaliste brzegi, które obserwowałem za dnia.

– I tak ja się urodziłem. Jestem pół Egipcjaninem, pół Sudańczykiem, a właściwie pół-Egipcjaninem, a reszta to nie wiadomo co. Bo czy jest ktoś taki jak Sudańczyk? – zastanawia się na głos. – Jestem Arabem. Pochodzę z plemienia z północne-

---

\* Walt Whitman, *Do ciebie*, w przekładzie Ludmiły Mariańskiej. „Twoja prawdziwa dusza i ciało zjawiają się przede mną. Wydostają się z interesów, z handlu, sklepów, pracy, farm, ubrań, domu, kupowania, sprzedawania, jedzenia, picia, cierpienia i umierania”.

go Darfuru, ale nie jesteśmy stąd. Przywędrowaliśmy z Nigerii, mówimy językiem hausa. Więc nie wiem, kim jestem w tej połowce. A ty wiesz, kim jesteś?

– *Chawadzat* – odpowiadam.

– Ja też jestem biały!

– Biały? Chyba tylko dla Nuerów – śmieję się.

Więc zastanawiamy się nad czernią, nad esencją koloru. Ale nie ma w tej naszej rozmowie afirmacji czerni, bo obaj czujemy się biali.

– Egipcjanie są biali, a ludzie Sudanu czarni, zapamiętaj. Niech ci będzie, jestem w połowie czarny. Ty jesteś jak mleko, a ja jak sudańska herbata albo jak *Czarna księga!*

– *Księga?*

– W *Czarnej księdze* napisano, że jesteśmy wielkim narodem, większym niż Amerykanie, Francuzi. Ale to kłamstwa, wszystko brednie i bajki. Jeszcze tego nie wiesz, lecz jedziesz do kraju rządzonego przez największych oszustów i hipokrytów.

Najpierw rejs przepelnionym statkiem z Asuanu do granicy z Sudanem. Potem wędrówka po pustyni, przeprawy przez Nil, postoje w oazach, miastach i wioskach. Spotkania z ludźmi. Sklepiarkami, taksówkarzami, pracownikami organizacji humanitarnych, żołnierzami, siostrami zakonnymi, podróżnikami. Oraz ich opowieści: o handlu dziećmi i masowych przesiedleniach, o biedzie, głodzie i łapówkach, o reżimie politycznym i nieustającej wojnie domowej, o epidemiach, śmierci.

*Czas bezdechu* to zapis podróży po jednym z najgorętszych krajów Afryki, dotkniętym niemal wszystkimi plagami, jakie mogą spaść na człowieka. Autor ma dla Sudanu wiele zrozumienia, współczucia i sympatii. Nie odbiera mu to trzeźwości oglądu: „Afryka, którą obserwuję, nie jest romantyczna, nie podąża za żadną ideą, niewiele pragnie, niczego nie pożąda, nie cierpi z powodu utraty i rzadko kocha”.

Konrad Piskala zabiera nas w podróż z Północy na Południe w tym szczególnym momencie, gdy przygasty walki. Ma rzadki dar obserwacji i talent do oblekania w słowa swoich spostrzeżeń. Warto wybrać się z nim w tę drogę

Olga Stanisławska

PATRONAT MEDIALNY  
ŻYCIE WARSZAWY.PL

t e r r a i n c o g n i t a

TVP 2

gazeta  
studencka

GEZETA.pl  
SERWIS GEOGRAFICZNO-PODRÓŻNICZY

dlaStudenta.pl

G punkt.pl  
sięgamy głębiej

REFUGEE.PL

TOK FM  
Pierwsze  
Radio  
Informacyjne

Wydawnictwo  
ab

978-83-7414-771-2



9 788374 147712

cena 34,90 zł